



PISMO TYGODNIOWE.

Nr. 34.

Rok 1922, WARSZAWA, 19 Sierpnia

Rok LV

Kongres Katolickich Związków Kobięcych w Rzymie.

Przewodniczącą i referentką tej sekcji była Margrabina Patrizi, przewodnicząca katolickiego Związku Włoszek, jedna z najwybitniejszych przedstawicielek kobiet włoskich, duch podniosły o szerokim widnokreśgu, nastrojony mistycznie, a równocześnie czuły na wszystkie prądy nowoczesnego życia, ujmujący każde zagadnienie ze strony prawdziwie Chrystusowem tchnieniem owianej wiary.

Zetknięcie z tą niezwykle szlachetną postacią zaliczam do najlepszych wspomnień kongresu.

W pojęciu Margrabiny Patrizi pełnienie obowiązków obywatelskich i politycznych jest swojego rodzaju Apostolstwem. Kobieta-obywatelka winna przejąć się myślą, że pomyślność narodu zależy od jego prawodawstwa, że każdy wyborca odpowiada za wybór prawodawców, że zatem na kobietach w znacznej mierze będzie ciążyła odpowiedzialność, za rozstrzygnięcie wielu spraw w duchu sprawiedliwości chrześcijańskiej i konieczności państwowych lub odwrotnie.

Aby się należycie przygotować do korzystania z praw, które przedewszystkiem są obowiązkami i apostolstwem, kobiety winny pogłębić swoją wiedzę i wyspecjalizować się we wszystkich sprawach dotyczących wychowania, higieny, ochrony macierzyństwa i obrony praw kobiety pracownicy.

Jedną z najdonioślejszych spraw, którą kobiece związki katolickie — głównie we Francji, a po części w Niemczech i we Włoszech, ujęły w swoje ręce, to sprawy Kobięcych Związków Zawodowych.

Francję przedstawiały na kongresie delegatki „Federacji Katolickich Związków Zawodowych Kobięcych” i „Centralny Związek syndykatów kobięcych”.

Założycielką pierwszego katolickiego polskiego związku zawodowego była w 1899 r. panna Rochebilarz z Ljonu.

Następnie powstały w krótkim przeciągu czasu nowe związki i rozwijały się tak pomyślnie, że już w 1912 r. założono: „Normalną Szkołę społeczną” dla kształcenia kierowniczek i propagandzistek, a w 1916, dla obrony interesów i praw kobiety — pracownicy, została utworzona Federacja Związków o nader szerokim programie społecznym. Zostawiając wszystkim, wchodzącym w jej skład, związkom pełną swobodę, Federacja żąda jedynie przestrzegania sprawiedliwości i chrześcijańskiego braterstwa, opartych na prawach Boskich, przez Kościół określonych.

Tym samym duchem owiana jest wielka organizacja katolickiej młodzieży kobięcej we Włoszech (Gioventi cattolica femminile.)

Organizacja ta, istniejąca zaledwie od lat kilku, liczy już dziś 300,000 członków, przeważnie pracownic, należąc do niej jednak mogą i należą panny wyższych stanów, które w siostrzanej harmonii i jedności duchowej łączą się z uboższymi i mniej wykształconymi koleżankami, prowadząc nad nimi pracę kulturalną i oświatową.

Zarząd składa się wyłącznie z młodych dziewcząt, a założycielka i kierowniczką Związku, panna Armida Barrili, młoda, niezrównanej energii i pomysłowości organizatorka, pełniąc równocześnie obowiązki Sekretarki Uniwersytetu Katolickiego w Medjolanie, który niedawno ukończyła, znajduje czas i na objeżdżanie całych Włoch, od Trenta aż po południowe wybrzeże Sycylii, na wydawanie dziennika i miesięcznika kobięcego, które piórem swoim zasila, na wygłaszanie mów i organizowanie Zjazdów.

Bardzo dodatnio również zaznaczyła się działalność austriackich i niemieckich Związków kobięcych, które były między innymi reprezentowane przez trzy posłanki do Landtagu pruskiego, przez delegatki Stowarzyszenia nauczycielek i Związku syndykatów kobięcych.

Na porządku dziennym prac kongresowych znalazła się sprawa i nas blisko obchodząca, a mianowicie: wymiana zdań w sprawie przeprowadzonej przez Zarząd ankiety, dotyczącej kwestji bezwyznaniowych Związków kobięcych i stosunek do nich stowarzyszeń katolickich.

Za wyjątkiem Belgijek, które wchodziły w skład niektórych tego rodzaju stowarzyszeń, uczestniczki kongresu wypowiedziały się przeciw łączeniu się z nimi, wychodząc z założenia, że 1) zakres własnych prac ich jest nader rozległy, 2) że delegując do międzynarodowych, a obcych duchem organizacji, nieraz wybitne siły, osłabiają własne Stowarzyszenie, 3) że korzyści z przynależności do tego rodzaju związków są nikłe, a często żadne, 4) że niejednokrotnie wypływają w tych związkach obrady nad sprawami takimi jak np. sprawa rozwodowa, nad którymi katolicki wogóle radzić nie mogą, bo władny rozstrzygnąć takowe jest jedynie Kościół.

Przed zamknięciem Zjazdu zapadła uchwała utworzenia w Rzymie na przeciąg dwu lat, międzynarodowej Komisji, w charakterze informacyjnym, dla badania spraw, związanych z polityczną działalnością kobiet na całym świecie.

Komisja ta stanie się dla stowarzyszeń, wchodzących w skład międzynarodowego Związku, cennym źródłem wiadomości i informacji i wydaje nam się wskazaniem, aby nasze Związki zasilały ją wiadomościami, dotyczącymi Polski, same zaś czerpały od

niej wiadomości o ruchu wszechświatowym i rozpowszechniały je wśród szerszego grona swoich członków.

Jak wiadomo przewodniczącą międzynarodowego Związku, na każdą dwuletnią kadencję, mianuje Papież. Tym razem zaszczyt ten przypadł w udziale Holenderce, znanej na polu działalności katolickiej pani Steenberghe-Engerik.

Zgodnie z brzmieniem statutu dotychczasowa długoletnia i zasłużona Przewodnicząca hr. Wodzicka pozostaje w zarządzie jak również i jeneralna Sekretarka Związku Ks. Sapieżyna. Pozostały również w Zarządzie Margrabini Patrizi i Ks. Giustiniani-Bandini oraz pani de Velard, z nowych

członków zaś weszły francuzka pani de Vernay i austrijaczka Ks. Stahrenberg.

Obrazy kongresu, trwającego sześć dni, dzięki taktowi i umiejętnemu przewodnictwu hr. Wodzickiej, ani na chwilę nie zeszły z drogi rzeczowej, poważnej i bezstronnej dyskusji.

Ożywiał je duch nie tylko wyższy po nad wszelkie względy osobiste, ale nawet po nad spory i niechęci narodowościowe, po nad wspomnienia doznanych krzywd.

Górował na niemi wspólny, wzniosły ideał i niejednokrotnie nasuwała się myśl, że to Zgromadzenie przedstawicieli 21 narodów, jest może prawdziwszym „Związkiem Narodów” aniżeli ten, w którym ucze-

stnicy dzielą się na wielkie i małe narody, na te które mają głos i te, które są go pozbawione, na te, które ferują wyroki i te, których najżywońsze sprawy bywają bez nich, a nawet przeciw nim, przesądzone.

Zebrane w Rzymie przedstawicielki 21 katolickich narodów w chrześcijańskiej zgodzie i harmonii radziły nad moralnym odrodzeniem ludzkości, nad zniesieniem krzywd i ciemnoty, nad udoskonaleniem metod pracy kobiecej, która we wszystkich dziedzinach: rodzinnej, wychowawczej, społecznej i politycznej winna być zawsze owiana duchem Chrystusowego „Apostolstwa”.

Wukry.

Poglądy pedagogiczne Eleonory Ziemięckiej.

Głównym źródłem błędów dzisiejszych kobiet jest egoizm, wada ta, wspólna zarówno mężczyznom, jak kobietom jest niebezpieczniejsza dla tych ostatnich, gdyż łącząc się z przyrodzoną uczuciowością wywołuje gwałtowne wybuchy namiętności, staje się źródłem nieszczęść, częstokroć występku.

Widzimy z powyższego, iż zarzucane kobietom wady, ich słabość, nieśmiałość sądu, niższość umysłowa są w znacznej części wynikiem niewłaściwego ich wychowania, powierzchownego i fałszywego kształcenia uczuć, niedostatecznego i płytkiego rozwijania umysłu.

W gorących, pełnych zapału słowach, nawołuje autorka do uznania, kształcenia przede wszystkim człowieka w kobiecie.

„Jeśli kobieta w młodości pojmie gruntownie jako człowiek obdarzony moralną wolą swój stosunek do Boga, jeśli jej wskażemy w uprawie duszy i umysłu środek własnego udoskonalenia i własnej godności, wówczas dopiero potrafi spełnić swoje przeznaczenie jako żona i matka, wówczas będzie uważać swój zawód samostannie jak świętą odpowiedzialność. Obecnie „zniknął charakter matki z niewiasty, a to właśnie dlatego, iż w niej wyłącznie kształcono kobietę”. Jako jedyny cel jej życia stawiano zamążpójście, przedstawiano je jako koniec i uwieńczenie jej zawodu. Czyniąc jej szczęście zależnym od losu, od przypadku nieraz, a nie od własnej, wypracowanej przez siebie linii życia, nie dozwolano jej pojąć samostannie stosunku swego do Boga i świata, nie nauczono oprzeć się zarówno w szczęściu, jak w nieszczęściu na własnej duszy, żyć samodzielnie, jak człowiek! Wskutek tego kobieta nie mogła pojąć rozkoszy, jaka leży „w energicznym używaniu sił duszy, w zmierzaniu swej mocy moralnej ze ślepych biegami zdarzeń”. Ten brak ogólnych podstaw życiowych wywołuje z jednej strony skłonność do gwałtownych a egoistycznych uczuć, z drugiej u natur powolniejszych, obojętność dla wszelkich zagadnień życiowych, oziębłość i egoizm, brak zainteresowania sprawami, wychodzącymi poza ciasne ramy

spraw domowych. „Skoro jednak wychowanie człowieka zostanie głównym celem w edukacji kobiety”, mówi Ziemięcka, „nawet świat cały z swą pięknnością i moralnym bogactwem, całe przyrodzenie, nauki, spokojne stosunki towarzyskie staną się dla niej źródłem pociech, przedmiotem zajęcia, i badań rozumowych lub natchnieniem dobroczynnych przedsięwzięć” „Im rozleglejsze będą wyobrażenia kobiety, tem lepiej spełni swój wyłączny zawód, pojmie z zastanowieniem zamiary Twórcy, dumną będzie z udziału, jaki jej w towarzystwie ludzkim naznaczył, z rozkoszą ujrzy mnożące się z wiekiem trudy powołania, bo w miarę obowiązków wzrosnie dla niej sposobność dobroczynnego wpływu na ludzi i zasługi przed Bogiem”. Tylko więc „na ogólnych podstawach oparte wychowanie”, usunie, jeśli nie zupełnie, to w większej części błędy dziś zarzucane kobietom.

Tutaj autorka stwierdzając, iż wszystkie, czynione dotąd uwagi treściści by można w jednej „uczynmy kobietę doskonałą chrześcianką”, daje nam szereg trafnych i głęboko ujętych uwag nad prawdziwą religijnością. Moralisci, wskazując religię jako samo tylko oparcie w słabości, stoją na fałszywym gruncie, gdyż w religii szukać należy ulgi w cierpieniach i pociechy, lecz przede wszystkim „praw życia, nauki stałej i niezmiennej”. „Uważać w religii tylko pociechę z pominięciem prawa”, mówi autorka, „jestto czynić z niej orzeźwiająca poezję, lube marzenie, nie zaś źródło odwagi, wytrwania, odrodzenia”. Tak często zdarzający się wśród młodych zwłaszcza kobiet nawskroś poetyczny i marzycielski stosunek do religii czyni z niej „czcąc poezję dusz egzaltowanych”, nie zaś to, czem być winna, t. j. „ciąglą, wielką i poważną przewodniczką życia”. Czynniki religii są prawo i miłość, lecz ta ostatnia, pozbawiona kierunku i podstawy przerodzić się może w uczucie egoistyczne, poetyczne lecz bezwładne, bez mocy moralnej. Uznanie i odczucie prawa religijnego da nam dopiero jednostkę „mocną przez charakter nie przez samo uczucie, przez uznanie obowiązku nie przez natchnienie,

przez konieczność cnoty nie przez jej piękność” „Równie jak religja i moralność nie powinna być uważana (wyłącznie) pod względem piękności” mówi autorka. Wywołać to może fałszywą czułość, sztuczną poetyczność, a te uczucia zarówno w religji jak w życiu czynią nas tylko widzami, zdolnymi uczuć estetyczną piękność cnoty, prawdy, lecz nie umiejącym żyć według niej.

Prawdziwa poezja życia oprzeć się może tylko na doświadczeniu, na „rzeczywistej pracy dla ludzi, rozważaniu istotnych stosunków społeczeństwa, (w których) oczyszcza się i hartuje wola”. Dlatego też dla kobiety raczej w dojrzałym wieku, nie we wczesnej młodości wskazany jest pełniejszy rozwój wyobraźni i uczuć estetycznych przez sztukę, poezję i to wszystko, „co obok prawdy, wzniosłość w sobie łączy”. Tylko wczesne wyrobienie czynnej a gorliwej cnoty, przerodzić może dotychczasową egzaltację młodych kobiet w prawdziwą uczuciowość i szczerą, chrześcijańską miłość.

W drugiej części dziełka Ziemięcka przystępuje do szczegółowego omówienia ogólnych zasad oświecenia kobiet.

Dotychczasowa edukacja kobiet, zarówno jak moralne ich kształcenie, kierowana była przez egoistyczne i wątle widoki, „starano się zdrobnić i zastosować wspinała prawdy umysłowe do pojęcia kobiety”. System ten dalekim był od przyświecającego nam celu kształcenia w kobiecie bezwzględnie człowieka. Przystosowanie zaś pozorne nauk do umysłu kobiecego polegało na podawaniu im szeregu wiadomości, nieumotywowanych twierdzeń, wybieraniu zjawisk bez przedstawienia wewnętrznego ich związku i zależności. Tak pojęta nauka nie uwzględnia naczelną zasadę wykształcenia, jaką jest rozwinięcie rozsądku i uporządkowanie wyobrażeń oraz wyrobienie jasnego sądu o rzeczach a przez to ukształcenie umysłu i ustalenie zasad. Przeciwnie system taki jedynie obciąża pamięć a nabyte dość błahę przeważnie wiadomości budzą próżność i zarozumiałość.

Jadwiga Rzętkowska.

(d. c. n.)

Oprzemianie materji.

Komórka zwierzęca do utrzymania swego bytu wymaga ciał złożonych, ciał białkowych obcych, które rozkłada, by wreszcie ze szczątków ich zbudować sobie właściwe białko komórkowe. Rośliny budują z prostych połączeń chemicznych białko swoiste, którego komórka zwierzęca z tych samych połączeń wytworzyć by nie mogła. Zwierzęta roślino-żerne czerpią zatem swój materiał odżywczy z roślin, by z kolei wytworzyć swe białko, właściwe komórkom zwierzęcym. Człowiek natomiast i zwierzęta mięsożerne dopiero z białka zwierzęcego mogą budować swoje własne białko i utrzymać się przy życiu.

Zaznaczmy teraz, że połączeń białkowych istnieje znaczna ilość i choć w skład ich wchodzi te same pierwiastki przeważnie, to jednak w różnych stosunkach ilościowych. Z pierwiastków spotykamy przede wszystkim: węgiel, tlen, azot, siarkę, fosfor, wodór i żelazo.

W skład komórki zwierzęcej, oprócz białka wchodzi jeszcze połączenia węgla, wodoru i tlenu pod postacią węglowodanów, oraz te same pierwiastki, w innym stosunku wzajemnym jako tłuszcze. Nadto tworzą komórkę: woda, sól kuchenna wapń.

Bez świata roślinnego trudno możemy sobie wyobrazić egzystencję świata zwierzęcego. Źródłem energii, tego najważniejszego, jedynego czynnika życia na ziemi, jest roślina dla każdego wyższego zwierzęcia. Z roślinnego pokarmu czerpie ono materiał dla swych przejawów życiowych w postaci ciepła i ruchu. Mówiliśmy, że roślina posiada zdolność składania z pierwiastków i połączeń chemicznie prostych swe skomplikowane białko komórkowe. Do tego celu służy jej ogromna powierzchnia jej ciała utworzonego przez liście lub igły roślin iglastych. Zielony barwik liści igiel zwany chlorofilem oraz świetlna energia promieni słonecznych: oto czynniki za pomocą których, roślina skomplikowany proces przyswajania dokonytuje. Tak bez słońca niema roślin, bez roślin niema zwierzęcia.

Jedynie przy procesie rozkładu wewnątrz komórki zwierzęcej wyzwala się energia niezbędna dla przejawów życia, aby przeto utrzymać komórkę przy życiu należy dostarczać jej tego materiału, który ona dla utrzymania się rozkłada. Materiałem tym będzie w myśl tego, cośmy właśnie powiedzieli: białko roślinne lub zwierzęce (zwierzęta roślinożerne, mięsożerne i wszystkożerne i człowiek) węglowodany, tłuszcze, sole i woda.

Podnieść należy, że ustrój ludzki człowieka dla utrzymania się potrzebuje wszystkich tych wymienionych składników, aczkolwiek w nierównej mierze.—

Przypatrzmy się teraz jaką drogą następuje przemiana materji u istoty żywej, złożonej, jaką jest człowiek. Cały szereg

wysoko zróżnicowanych komórek składa swą pracę na przygotowanie przyjętych pokarmów dla wyzyskania ich przez ustrój.

Przyjęty pokarm, zmiądzony zębami, zwilżony śliną już w jamie ustnej, ulega pewnym rozkładom pod wpływem fermentów*) zawartych w ślinie. W szczególności chodzi tu o wstępne rozłożenie przyjętych węglowodanów. Następnie pokarm dostaje się do żołądka, gdzie zostaje rozłożone białko pod wpływem kwasu solnego: pepsyny i podpuszczki (dwie ostatnie też fermenty) wydzielonych przez błonę śluzową żołądka, skąd pokarm dostaje się do dwunastnicy, do której uchodzi przewód z trzustki i przewód z wątroby. Pierwszy doprowadza fermenty, rozkładające białko, niestrawione w żołądku, węglowodany i tłuszcze, drugi doprowadza żółć posiadającą zdolność odkażania przewodu pokarmowego obfitującego w bakterje. Żółć zarazem neutralizuje pokarm przepojony kwasem solnym z żołądka stwarzając przez to dogodne warunki dla działania fermentów oraz zmydla tłuszcze.

W jelitach cienkich pokarm zostaje przez wydzielinę błony śluzowej jelit dalej rozkładany za pomocą fermentów. Tu podlegają rozkładowi białko i węglowodany. W jelicie grubym rozkład kontynuuje się dalej, choć błona śluzowa jelita grubego nie wydziela żadnych fermentów, tu też następuje ostateczne wessanie przez ścianę jelita: wody i resztek produktów rozkładu. Materiał niestrawiony, lub niezaużyty, jako też nie dający się wogóle przez organizm wyzyskać, zostaje wydalony.

Tak więc cały przewód pokarmowy, począwszy od ust aż do jelita grubego, łącznie z trzustką i wątrobą (ta ostatnia ma i inne funkcje jeszcze) pracuje nad rozłożeniem pokarmów, na elementa chemicznie prostsze, by te mogły być następnie rozpuszczone w wodzie i wessane przez błonę śluzową przewodu pokarmowego. Krew przepływająca w ścianach przewodu pokarmowego zabiera tak przetrawiony materiał odżywczy i przez wątrobę (która część rozłożonych węglowodanów znowu składa i zatrzymuje), doprowadza do serca. Z serca krew przepływa przez płuca, gdzie pobiera z powietrza niezbędny dla komórek tlen, poczem tętnicami dochodzi do wszystkich komórek całego organizmu, zaopatrując je w konieczny materiał odżywczy. W zamian komórki wydzielają do krwi produkty rozpadu, powstałe po spalaniu (spalanie jest to proces przyswajania tlenu, przyczem następuje rozkład chemiczny wyzwalający energję w postaci ciepła). Produkty zbędne, a nawet szkodliwe, zostają wydzielone przez nerki, które spełniają rolę filtra, w postaci moczu, oraz przez płuca w postaci gazów.

*) Fermentami nazywamy substancje, wydzielone przez komórki przewodu pokarmowego, których bardzo mała ilość wystarcza do rozłożenia znaczniejszych ilości materji. Fermenty mogą też być wydzielane przez bakterje np. grzybek drożdżowy, grzybek piwny.

Krew jest, jako całość organem lokomocji w ustroju. Czerwona jej barwa pochodzi od barwika zwanego hemoglobina, który rozmieszczony w pewnych komórkach krwi posiada ściśle powinowactwo z gazami. Zarówno pobieranie tlenu z powietrza, jak i wydzielanie gazowych produktów przemiany materji, lub w wypadkach zatrucia wprowadzonych gazów np. świetlnego, wszystka ta wymiana odbywa się przy pomocy hemoglobiny. Oprócz tych komórek, posiadających barwik, stąd zwanych czerwonymi ciałkami lub krążkami krwi, posiada ta ostatnia inne komórki zwane ciałkami białymi, które mają ogromne znaczenie dla rozkładu materji przez produkcję pewnych fermentów; posiadają też one zdolność walczenia z drobnoustrojami, o ile te wtargną do organizmu niosąc chorobę. (Mieczników). Oba gatunki ciałek białych i czerwonych pływają swobodnie w płynie, tworzącym podstawową część krwi, nazwanym osoczem. Osocze jako płyn posiada łatwość dostania się do wszystkich komórek organów ustroju niosąc rozpuszczony w sobie, rozłożony przez ścianki jelita, pokarm, oraz wyżej opisane komórki czyli ciałka białe i czerwone. Niepodobna przeto uważać krwi za zabarwiony jedynie jakimś barwikiem czerwonym (hemoglobina), płyn, ale za zawiesinę całego szeregu morfologicznych i chemicznych składników.

Serce, jako pompa ssąco-tłocząca nadaje krwi stały ruch wewnątrz przewodów zwanych tętnicami i żyłami, które to przewody tworzą gęstą siatkę, w oczkach tej ostatniej zaś umiejscowione komórki organów, posiadają wszystkie możność bezpośredniego zetknięcia się z krwią. Jej to zawdzięczają komórki ustroju materiał życiodajny, a z ustaniem jej krążenia (przy porażeniu serca) nastąpić musi nieodwołalnie śmierć całego ustroju.

III.

A teraz przypatrzmy się bliżej jakości pokarmów, których ustrój ludzki do utrzymania się potrzebuje oraz celowi, na który zostają one użyte. Celem jest utrzymanie warunków do życia, a przez to życia samego. Przemiana materji nie będzie przeto niczem innym, jak tylko przemianą energii w znaczeniu fizykalnym i chemicznym. Energia potencjalna zawarta w wysoko złożonych składnikach pożywienia przy rozkładzie tychże wyzwalać się będzie przede wszystkim w postaci ciepła.

Ciepła potrzebuje ustrój na utrzymanie stałej temperatury swego ciała (37°), niezbędnej dla chemicznych przemian, następnie na ogrzewanie przyjętych pokarmów, wreszcie na ogrzanie powietrza oddechowego wprowadzonego do płuc. Nadto znaczną część ciepła traci ustrój z powodu warunków zewnętrznych, a mianowicie: przez przewodnictwo i promieniowanie oraz parowanie na powierzchni ciała i w płucach.

(d. c. n.).

Prof. T. ZIELIŃSKI.

ORESTEJA AJSCHYLOSA.

Idea usprawiedliwienia moralnego.

Jej geneza i rozwój.

(CIAĞ DALSZY).

Wiemy o pewnych „poprawkach“, wniesionych do tekstu Homera właśnie w Atenach, i za rządów Pejsistratesa; nie pomylimy się też bodaj zaliczając do nich również zagadkowy wstęp, potrącony przez nas wyżej (r. V), wedle którego Orestes wrócił do Ardosu nie z Delf, lecz z Aten.

Skoro zaś młode piskłę zabitego orla mychiskiego wyhodowane zostało przez Ateny, to czyż nie naturalną jest rzeczą, że, opuściwszy Argos po zabójstwie matki i dostąpiwszy oczyszczenia z rąk Apollina, *powrócił do Aten?* W taki to sposób powstaje w Atenach wierzenie: nie do Argosu, a tem mniej do Sparty powrócił Orestes, rozgrzeszony przez boga, przedstawiciel idei wszechhelleńskiej hegemonji, ale do Aten; w Atenach od boga dane sceptrum puściło nowe latorośle. Wrócił zaś on, jak widzieliśmy wyżej (w. VI) ze starodawnym posagiem Artemidy Tauryckiej, i oto posąg taki, będący w posiadaniu jednej wsi attyckiej, utożsamiono z tym, który Orestes przywiózł był z Taurydy; w celu zapewnienia tej wersji większej powagi, Pejsistratos ustanowił ku czci owego posągu kult na Akropolu.

Działo się to w wieku VI, gdy mitologia polityczna otoczona jeszcze była szacunkiem. Delfy się zatrwożyły; rzecz bardzo prawdopodobna, że nadmienione wyżej „przeniesienie zwłok“ Orestesa do Sparty, jakie uskutecznił właśnie w epoce Pejsistratos, było odpowiedzią Delf na jego nowatorstwa. Lecz nie dość na tem. Pejsistratos i ród jego znienawidzony był przez Delfy: nie spoczęły one, dopóki nie wygnano go z Aten. Kiedy zaś, pobłogosławieni przez boga delfickiego, ruszyli na Helladę Persowie, wśród łupów, zagarniętych przez najazd i wywiezionych ze spustoszonej Attyki, znajdował się też i rzekomo taurycki posąg Artemidy. Rzecz jasna, że nieforemny bałwan nie mógł niczem skusić króla złotej Persji; usunięcie jego, natomiast, z Attyki bardzo było pożądane dla Delf, które podówczas działały ręką w rękę z Persami.

Wszelako nawet usunięcie posągu nie mogło osłabić wiary w zdarzenie, o którym ongi posąg ów świadczył, cóż, że Artemida taurycka teraz ponownie popadła w ręce barbarzyńców? Do owego czasu była przecież w Attyce; w Attyce zostawił ją Orestes. Tragedja ateńska wieku V chętnie zajmowała się Orestesem, rozmyślnie podkreślając jego związek z Atenami na złość Delfom i Sparcie—na tem dla Aten polegała wartość *polityczna* mitu o Orestesie-matkobójcy, niezależnie od wartości *moralnej*, do której przejdziemy niebawem. Wartość ta wzrosła, naturalnie, podczas tej wojny, która [miała rozstrzygnąć spór o hegemonję między Atenami a Sparta, podczas wojny peloponeskiej. Sparta wciąż jeszcze posiadała zwłoki, które, za zgodą Delf, podawała za zwłoki Orestesa; odbierało

to spokój pobożnej części ludności ateńskiej. Zali mógł Orestes zapewnić zwycięstwo miastu, które dotychczas ku jego czci nie ustanowiło kultu? I oto domaganie się ustanowienia kultu herosa Orestesa jęło rozbrzmiewać coraz natężyciej; motywowano je tem, czem zazwyczaj domagania tego rodzaju się motywuje: gniewem bohatera, dającym się we znaki w głuchą północ spóźnionym przechodniom wśród pustych, nieoświetlonych ulic ateńskich. Wszelako, inne to były już czasy: oświata trwale uwiła sobie gniazdo w Atenach wieku V, i to, co przed stu laty uchodziłoby za sprawę doniosłą, teraz wywoływało jeno śmiech; ku zgorzzeniu ludzi pobożnych, słowo „heros Orestes“ stało się przewiskiem nocnych opryszków, napastujących potulnych obywateli w bardzo materialnym celu—ściągnięcia z nich płaszcza lub chitonu.

Mimo to wszystko, kraj Pallady czuł się spadkobiercą króla Hellenów Agamemnona i prawowitym dziedzicem jego władzy. Ateny walczyły o władzę tą rozpaczliwie, nie osiągnęły atoli powodzenia. Ten sam Hellespont, który ongi widział tryumf Agamemnona stał się świadkiem zniweczenia ostatnich sił ateńskich; niebawem miasto poddało się wodzowi spartańskiemu Lysandrowi i jego sojusznikom, składając los swój w jego ręce. Okrutne padały wówczas propozycje w namiocie Lysandra oraz na radzie wojennej, tudzież podczas biesiady koleżeńskiej: im bardziej ktoś drżał dawniej przed potęgą Aten, tem bardziej teraz pragnął zetrzeć nie-nawistne miasto z oblicza ziemi, mieszkańców zaprzedać w niewolę, kraj zaś zamienić w pastwiska. Wtenczas, opowiada Plutarch, jeden z towarzyszy w biesiady, zaśpiewał pierwszą pieśń chórową z Elektry Eurypidesowej:

Agamemnona córo sławna!

Przychodzimy, Elektro, do ciebie,

W twe ubogie progi nie królewskie...

Zrozumiano aluzję; wzruszyła ona obecnych do łez. Ateny nie były zburzone, ale hegemonję postradały; laska Agamemnona przeszła do tego miasta, w którym znajdował się uświęcony grobowiec jego syna.

Po raz wtóry stała się Sparta mieczem Hellady; pod jej przewodnictwem odnowiła się wojna z odwiecznym wrogiem wschodnim. Aby stwierdzić w obliczu wszystkich łączność dziejową hegemonji spartańskiej z heroiczną hegemonją Atrydów, Agezylausz, król Sparty, postanowił rozpocząć wyprawę, za przykładem Agamemnona, od złożenia ofiary w Aulidzie. Lecz Aulida była na terytorjum Beocji; Teby, którym w udziale przypadło zebrać plon waśni między obu potężnymi państwami Grecji, sprzeciwiły się zamiarowi Agezylausza i zamiaru tego poniechano. To złożenie ofiary w Aulidzie było ostatnią próbą spożytkowania czaru legendy o hegemonji Atrydów, ostatnią, o której wiemy; odtąd legenda ta stała się niepodzielną własnością poezji. Potęga mitotwórcza ludu greckiego wygasła, a powaga mitologii politycznej zalamala się nazawsze.

VIII.

Wysunęliśmy się w wykładzie swym nieco zbyt daleko naprzód, aby móc do końca rozpatrzyć wpływ ewolucji politycznej na rozwój mitu, który nas zajmuje; teraz proszę

czytelnika, aby wrócił do tego miejsca, gdzie urwała się nie rozwoju idei moralnych w związku z rozwojem tegoż mitu. Oresteja delficka miała światu obwieścić dwie prawdy nowe: naprzód, że prawo duszy do zemsty krwawej jest prawem świętem i niezachwianem, czembykolwiek był dla mściciela zabójca; po-wtóre, że Apollo może przestępcę oczyścić w każdym razie, jakimbykolwiek grzechem był on obarczony. Niebezpiecznym pierwszej prawdy następstwem zapobiegala druga: mściciel tracił prawo do zemsty, jeśli zabójca uzyskał rozgrzeszenie Apollina; druga atoli prawda czyniła Apolina i delfickich jego namiestników władcami sumienia wszystkich Hellénów wierzących. Gdyby był bóg delficki nie napotkał dla tych uroszczeń swoich odporu, cała kultury greckiej historia nabrałaby charakteru sakralnego, teokratycznego; polityką Grecji byłaby wola delfickiego kolegjum; filozofją Grecji—delfickie litanje ku czci jasno-kędziornego boga i jego zwycięstwa nad wielkim Smokiem, przez Ziemię wyhodowanym. Ale spotkał on odpór, spotkał odpór ze strony Aten. Ateńczycy po swemu uporali się z przeżytkami animizmu w swych wierzeniach i obyczajach. Z jednej strony, wrodzona im badawczość nie pozwalała im poprzestawać na rozwiązaniu, wynalezionem przez niefrasobliwą i lekkomyślną Jonję Homera, rozwiązaniu, przy którym dusza zabitego bywała tylko przedmiotem umowy między zabójcą jego a jego najbliższym krewnym, wyrządzoną zaś temu ostatniemu przykrość wyrównywało się odpowiednią sumą przyjemności: branie odszkodowania poczytano w Atenach za rzecz tak samo niemoralną, jak i w Delfach. Wszelako, z drugiej strony, również rozwiązanie, przez Delfy wynalezione, nie odpowiadało bynajmniej poglądom ateńskim, gdyż rozwiązanie to pomijało jeden z najważniejszych duszy ateńskiej pierwiastków, ten sam właśnie, który uczynił Ateny źródłem kultury ludzkiej—*obywatelskość*. Rozwiązania jońskie i delfickie, mimo całą swą radykalną rozbieżność, schodziły się ze sobą w jednym: wedle nich, człowiek był w zasadzie czemś odosobnionem i wystarczającym sobie. W tradycji jońskiej zabójca miał do czynienia wyłącznie z najbliższym krewnym zabitego; podług nauki delfickiej do dwóch tych stron dołączała się trzecia — dusza zabitego, nieustępliwa i mściwa; wszelako, ani tam, ani tutaj nie brano pod uwagę gminy, do której należał zabity, zabójca i mściciel. Ta gmina w Atenach właśnie prawa swe zgłosiła. Rzekła ona do zabójcy: „Człowiek, którego zamordowałeś był moim obywatelem; zabijając go znieważyłeś mnie“; rzekła też i do mściciela: „Człowiek, którego ścigasz, jest moim obywatelem i stoi pod moją osłoną; zanim dopuszczę do jego ukarania, przekonać się muszę, czy jest winny. Dlatego chcę być sędzią między tobą a nim; jeśli uznam go za winnego, to sama karę mu wymierzę, lecz jeśli znajdę go niewinnym, wówczas ty obowiązany będziesz go oszczędzić“. Do etyki starożytnej słowa te nowy wnosiły pierwiastek; wbrew roszczeniom boga delfickiego, gmina przywłaszczała sobie prawo zemsty i odplaty.

(d. c. e.)

M. H. SZPYRKÓWNA.

GWIAZDY i DOLARY.

4)

Wyjeżdżamy zaś wzbogaceni o ten jeszcze szczegół, że mają niskie obcasy, a więc duże nogi, i to wszystko, bo tak jak, niestety, komary zagryzły lwa, tak nam Anglię zasłoniły bagaże.

Bagaże! Jest to dla podróżnika słowo tak posępne, że może zaćmić najbardziej różowe horyzonty. Jest to poprostu ciemna plama na egzotycznym niebie. Po pierwsze, bagaże lubią ginać, i to jest jeszcze odmiana najmniej kłopotliwa. Zginęły, i już. Niema, rozstap się ziemio, bagaży, i koniec. Zato niema i kłopotów. Jestto rozwiązanie wprawdzie trochę negatywne, tak, jak ustąpienie choroby dlatego, że choremu się zmarło. Ale zawsze rozwiązanie. Człowiek się pomartwi troszkę i zrezygnuje: zginęły, to i zginęły. W każdym razie niema już z tem do czynienia, jak z wyrwanym zębem. Bolesne, ale radykalne.

Dużo gorzej jeśli wszystko się odbywa szczęśliwie i bagaż towarzyszy podróżnikowi od miejsca nadania do miejsca przeznaczenia. Łączy się z tem tyle wstrząsających i przynębiających zjawisk, że słabe nerwy nie wytrzymują i z płaczem przysięgają wyrzec się na zawsze wszelkiej podróży. Pomija się już pakowanie, przewożenie, ważenie, nadanie i t. d. Najgorsze następuje na okręcie, tu, przy ładowaniu ciężarów nadchodzi moment szczytowy. Żadna sensacji publiczność wieszta się w malowniczych floresach dokoła barjery pokładu i obserwuje. Na dole stoi statek, który dowozi ładunki do dużego okrętu. Na dużym okręcie natomiast w miejscu po temu przeznaczonym, sterczy wysoko, wysoko w górę piekielna maszyna dziwnego nabożeństwa, a przypominająca daleką krewną zwykłego studziennego zórawia, który ma na końcu haczyk. Haczyk jest tych wymiarów, że gdyby gdzie w kuli ziemskiej zrobić odpowiednio trwałą pętelkę do zaczepienia — uniosłby ziemię z całym spokojem w górę i cisnął w czeluście piekielne jak piłkę. Haczyk obracający się na skomplikowanych blokach i kołach, wykonywa ruch monotony: spuszcza się na pokład własnego okrętu, zakreca sznur, w którym są uwiązane partjami paki i kufry, unosi je w powietrze, i zataczając nad otchłaniami morskimi łuk w górę, w sposób, który zamraża krew w żyłach obserwatora, spuszcza je z wdziękiem na pokład tulącego się gdzieś pod kołami kolosu — okrętu „Szczeniaka“. Podróż jest tak zawrotna, kufry tak luźno chwyczone sznurami, a woda na dole tak łapczywie głęboka, że widowisko jest sensacyjne. Toteż wszystko, co żyje, wylega na brzeg pokładu i wisi, obserwując podróż haka tam i z powrotem z zapartym tchem, milknąc jak na komendę z chwilą, gdy błąk z piekielnym skrzybotem winduje kufry w powietrze i wybuchając gamą wykrzykników po szczęśliwym ich złożeniu na miejscu wskazanym. Miejscem tem jest mianowicie kolosalna dziura czworokątna w części maszynowej statku, którą po naładowaniu ba-

gażu, zasłaniają drewnianą pokrywą, służącą do werandowania lub siedzenia amatorów, przez cały czas podróży. Istnieje zresztą to udogodnienie, że dla kufrow, w podróży potrzebnych, jest osobny pokój, strzeżony przez straszliwie czarne i plugawe murzynisko, które szczyrzy zęby, stworzone do obgryzania ludzkich kości, z wdziękiem starego krokodyla, skazanego na wegetarjanizm. Murzyni, murzynki i murzyniutka są wogóle częścią tak wybitną wrażeń amerykańskich, że należeć im się będzie słusznie poczytne, jakkolwiek czarne miejsce w dalszych epopejach.

W Anglii przeszliśmy szczęśliwie pierwszą krucjatę bagażową z tem, że zginęło nam na kilka osób zaledwie dwie walizki, które i tak się w końcu uparcie odnalazły. Oczywiście, że kazano nam rzeczy na dworcach i na granicach otwierać, zamykać, znaczyć literami, nalepkami, sygnałami i innemi siedmioma boleściami podróżującymi. Lepiliśmy, znaczyliśmy, czekaliśmy, zbieraliśmy się, gubiliśmy się oraz męczyliśmy się na wszelki inny sposób, spiesząc się przytem na dworzec, ile, że musieliśmy przeciąć ład angielski i wsiąść na okręt do Ameryki dopiero w Liwerpoolu.

Podróż pociągiem stanowiła dystrakcję więcej przyjemną, bo chociaż statystyka się upiera, że wypadki na morzu nie dorównują ani w jednej malusieńkiej części zderzeniom pociągów, to jednak stworzenie dwunożne a lądowe pewniej się czuje na ziemi.

Oczywiście, wypatrujemy oczy na wagony i na widoki. Nic nadzwyczajnego wagony jak wagony, a widoki malownicze, ale nie tak znów frapujące, aby nie warto było poniechać ich dla przekazania czegoś pożywnego. Mamy wszyscy, sposobem polskim, skarby kulinarne wywiezione z ojczyzny na wypadek głodu lub rozbicia okrętu u stóp bezludnej (najgorzej!) wyspy. Mają nadto niektórzy i jaką taką alkoholję. Urządzamy się tedy w przedziale jaknajwygodniej, rozkładamy stolik, dostawiamy walizkę, nakrywamy serwetką richelieu, dobywamy mięsa, sardynki, babki, czekoladę, wino i robimy orgję. Drzwi dla pewności zamykamy, bo drzwi są jak wiadomo poto, aby przez nie mógł wchodzić konduktor w chwilach najmniej upragnionych. Otóż nie wejdzie.

Ale angielski konduktor jest strasznie chytry. Słyszemy maleńki zgrzytek, i pomiędzy oknami przedziału rozsuwa się dziura, a w dziurze zjawia się konduktor. Stoi sobie na wąskim stopniu, który ciągnie się wzdłuż wagonów z drugiej strony i łagodnie uśmiechając się, otwiera usta żeby zażądać biletów. Nie żąda jednak nic, tylko zamyka usta, które mu się składają w słodkie „o“, a natomiast wytrzeszcza oczy i wpiera je w sardynki z taką lubością, że sardynki kręcą ogonkami i czują się przyjemnie pochlebione. Mieszmamy się strasznie i w zmieszaniu mamy jedną tylko myśl przytomną, że przedewszystkiem nie należy się dać przeciwnikowi opa-

miętać. Nalewamy do szklanki koniaku i na migi pokazujemy, że to nic, że to się pije. Kto ich tam wie, tych anglików? Może taki nawet nie zna koniaku? Ale konduktor zna, kiwa porozumiewawczo głową, mówi jakiś anglosaski dowcip, z którego się sam ogromnie cieszy i polyka koniak jak wieloryb, mlaskając angielskim językiem. Poczem robi mu się nadzwyczaj przyjemnie, i nie pytając już o bilety, znika w dziurze, która się chytrze zasuwą. Rozważamy w duchu zgodnie z teorią prawdopodobieństwa ile jest szans na to, że wywali się ze swojej deseczki na jakim zakręcie na tor, a ile, że już się wprawił na grogu i byle szklanka wojennego koniaku nie wytrąci go z równowagi? Wogóle jednak, doświadczenie to pokrzepia nas ogromnie w niepewnościach podróżnych, gdyż dowodzi, że nawet anglikowi nic, co ludzkie, obcem nie jest. Wobec tego już dużo śmieiej częstujemy czekoladkami ładnego chłopczyka, który wsiada do nas wraz z papą w kratkę i strasznie się nami interesuje! Papa pozwala, ale widzi tylko gazetę i stąpa, jak lokomotywa, która wyraźnie zaznacza, że z drogi nikomu zejść nie myśli. Angielski chłopczyk natomiast poczuwa się do uprzejmości za czekoladę i zawiadamia wzmian, że jedzie do ciotki na plumpuding, bo jego siostrze urodziło się małe bebi. Serdecznie się z tego cieszymy i dojeżdżamy do Liverpoolu, gdzie gubimy rzeczy, przechodzimy szereg nieporozumień technicznych i narreszcie jesteśmy w hotelu, w którym mamy znów czekać parę dni na zdobycie okrętu.

Czytelnicy i czytelniczki, {których los nigdy nie wypchnął poza rubieżę ojczyste, czy wiecie, co uderza {człowieka, wchodzącego do numeru w hotelu lub zresztą i prywatnego pokoju do odnajęcia? Łóżko. Nie! Łoże, łożyszcze, konstrukcja do łóżka podobna, potwór na niskich łapach, który się rozsiadł na samym środku pokoju i wypycha wszystko inne. Jest szerokie, jak Atlantyk i z tem wszystkiem ma dwie małe poduszeczki u wezglowia. Pewien nasz oszczędny widocznie z natury rodak zawsze się martwił, poco ludzie robili tak duże poduszki, kiedy głowa właściwie jest taka mała? Anglicy widocznie wykombinowali sobie to samo, i zrobili poduszki wąskie a podłużne, tak jakby ktoś nasze przeciął na pół. Pozatem zaś łoże jest bajeczne, z wyjątkiem żeby się nie budzić zniemacka w nocy. Wtedy bowiem człowiek nie pamięta, gdzie jest, i bardzo się boi, czując, że ze wszystkich stron jest miętko i nigdzie nie sięga brzegu. Na poprzek łożka można się dla różnaitości położyć również. I gdyby, broń Boże, takie łożka wprowadzili u nas w Pińczowie czy Kielcach, żadna rodzina z rodu Izraela nie splamilałaby się wynajęciem dwu numerów, gdyż, licząc poprzecznie, jedno średnie łożko jedną średnią rodzinę pomieścić może z komfortem.

Zasadniczą różnicą hotelu zagranicznego a naszego jest tryb towarzyski. (D. c. n.)

WANDA MIŁASZEWSKA.

4.

KSIĘGA UMARŁYCH

Poważną dyskusję kończyła zwykle wycieczka, w malinogaszcz, skąd powracałem, niezawsze skruszony i przekonany, ale pełen wesołości i malin, których obfitość w Rosiance była zaiste niezwykła.

Któregoś dnia przypomniałem pannie Olesii, jak to kiedyś, w dzieciństwie, robiłem dla niej latawcę z papieru i łódki z kory sosnowej.

— Była pani malutka, ot, taka, panno Olesiu, więc wystarczały łódeczki nie większe, niż łupinka orzecha, do przedsięwzięcia czarodziejskich podróży... Teraz już pani ogromnie urosła i niemałą miałbym robotę, gdyby mi pani kazała, jak wówczas, zbudować taką „prawdziwą, zupełnie prawdziwą łódkę!”

— A tak, — odparła, śmiejąc się — trzeba by dużej łódki, bo już przestałam być dzieckiem, które wierzy w niemożliwości i dla którego fantastyczną podróż w marzeniu jest taką samą rzeczywistością, jak naprzykład dla nas...

Zawahała się, a mnie skorciło zapytać:

— A gdybym zbudował jednak prawdziwą, dużą łódkę i zaproponował pani prawdziwą, wielką podróż? Nie bałaby się pani?

Pożałowałem zaraz pytania, w którym panienka mogła doszukać się bez trudu ukrytych znaczeń. Ale Olesia odparła spokojnie, po chwili namysłu:

— Nie myślałam nigdy wielkich podróżach, więc nie wiem, czy bym się bała, czy nie. Ale tak mi się wydaje, że nigdy, nigdzie z Rosianki nie wyjadę. Wszystkie moje marzenia, od chwili, gdy nauczyłam się marzyć (a człowiek wcześniej tego się uczy, nieprawda?), nie wychodziły poza ten kawałek ziemi i dlatego myślę, że tutaj zostanę na zawsze aż do...

Chciała zapewne powiedzieć „do śmierci”, ale nie dokończyła, bo w tej chwili nadbiegł zadyszany służący z Bożej Woli:

— Proszę pana, pan Klemens prosi, żeby pan koniecznie zaraz przyjechał!

— Co się stało? Czy pan Klemens chory? — spyaliśmy jednocześnie, ja i panna Olesia.

— Widzi mi się, pan Klemens zdrów, ale telegram z miasteczka umyślnym przysłali, czy coś...

Chwyciłem za kapelusz.

— Mam nadzieję, że to żadna zła wiadomość... — rzekła Olesia, żegnając mnie z wyrazem niepokoju na twarzy. — Ale proszę niech pan koniecznie da znać, co to takiego...

W kwadrans później byłem już w pokoju wujaszka.

— Co się stało? Co za telegram?

— Masz, czytaj, — odparł wujaszek Klemens, podając mi rozpieczętowany papier. Telegram był z La Baule: „Paraliż. Przyjeżdżaj natychmiast. Stan jeszcze groźny. Karol”.

VI.

— Jedziesz? — spytał wujaszek Klemens, gdy po długiej chwili odrętwienia złożyłem we czworo otrzymany telegram, — ma się rozumieć, że pojedziesz. Musisz pojechać. Czekażże, która to teraz godzina?

— Piąta, — odparłem, machinalnie wyciągając zegarek.

— To fatalne! Pociąg odchodzi kwadrans po piątej. Nie zdążysz. Musisz poczekać do jutra rana. Mój biedny Jurku, żał mi cię serdecznie... Ale co tu słowa! Może da Bóg, że się twój stryj wygrzebie z tej całej biedy. Bywały wypadki...

Machnął ręką rozpaczliwie.

— „Stan jeszcze groźny“... hm! Miły wynalazek, te telegramy! Żeby choć napisali, co i jak... Kto z nas przed godziną mógł się domyślić, że był jakikolwiek groźny stan... Ale ty wrócisz, Jurku, do Bożej Woli?

— Wróć, wujaszku, potem.

Wstrząsnąłem się wewnątrz. Co znaczyło to mimowolne potem? Jak dziwnymi drogami krąży myśl ludzka... Zabiega czasem w dziedzinie, przed którą cofa się świadomość. Ale już rozbijała fantazja poddawać zaczęła coraz to niebezpieczniejsze tematy: „Trupa zastanę, czy też jeszcze... Trupa, czy też...” tłukło mi się po głowie męczące zagadnienie, którego nie mogłem przed czasem rozwiązać. Aby odpędzić od siebie tę zmore, począłem mówić szybko:

— Rzeczywiście, fatalnie się złożyło z tym pociągiem. No, trudno. Jeżeli stryjowi się polepszy, to... A, wie wujaszek, wpadnę dziś jeszcze do Rosianki! Obiecałem pannie Olesii, że zawiadomię, co u nas się stało. Ogromnie się zaniepokoiła.

— Złote serduszek, — szepnęła wujaszek. — Jedź, naturalnie, jedź. Ale nie zsiaduj się długo, żebym i ja mógł jeszcze na ciebie popatrzeć. Jedź — i niech cię Bóg błogosławi!

Zakreślił w powietrzu znak krzyża, co czynił zawsze w chwilach uroczystych. Gdyby nie chaos w głowie, zapewne bym się zastanowiło błogosławieństwo, na drogę do Rosianki dane. Ale myślałem tylko o stryju Karolu, jadąc miedzami i nawet potem, gdy pannę Olesię ujrzalem na ganku.

Oczekiwała mnie z wyrazem wielkiego niepokoju w oczach. Gdy mi obwieścił smutną nowinę, niepokój ustąpił miejsca głębokiej trosce.

— Pan pewnie pojedzie? — szepnęła tym samym pytającym tonem, za którym kryło się nieco rozżalenia, że tak właśnie trzeba. Zauważyłem, iż trochę przybladła, ale na moją potwierdzającą odpowiedź skinęła głową i rzekła zupełnie spokojnie:

— Tak to się źle złożyło z tym pociągiem! Musi pan poczekać do jutra rana, a w takich razach każda chwila jest droga, rozumiem i serdecznie mi pana żal...

Szliśmy powoli w głąb ogrodu, gdy domawiała tych słów. Podniosłem głowę i spojrzałem na nią uważnie, tak mię zniecka uderzyło podobieństwo, zachodzące

między nią, a wujaszkiem Klemensem. Ten sam sposób rozumowania, ta sama drobniawość, troszczenie się o szczegóły w wypadku wielkiej wagi, — te same niemal słowa w zapytaniach i odpowiedziach.

— Tak, — pomyślałem, patrząc na jej spokojną twarzyczkę, z której wyzierał jednak ogromny smutek, — tak, ona jest z tamtego pokolenia.

I nagle spytałem krótko:

— Pani widziała Księgę Umarłych?

Wstrząsnęła się, może wskutek moich niespodziewanych słów, a może poprostu od chłodu, panującego w cieniastej alei:

— Jaką księgę? — szepnęła, podnosząc na mnie zdumione oczy.

Dopiero teraz spostrzegłem, że zdradził tajemnicę wujaszka, ale już było za późno.

— Wuj Klemens ma taką Księgę, gdzie mieszkają ci wszyscy, których on pamięta, a którzy już dawno pomarli. Są tam listy jego kolegów szkolnych, listy powstańców, pisane z Sybiru, są drobne pamiąteczki po przyjaciółach i krewnych... Wyblakłe fotografie osób, których żadne z nas nie znało, a wujaszek pamięta z czasów swojej młodości...

Urwałem, przypomniałem sobie, że wujaszek nie pokazał mi w Księdze Żywych fotografii Olesii, którą tam miał wklejoną. A ona, z zabobonem zaciekawieniem w oczach, dopytywała:

— I co to? I poco?

— Widzi pani, wujaszek miał dawniej inną Księgę... Księgę Żywych. Ale, kiedy schodzili ze świata, jeden po drugim, jeden po drugim, — prznosił kolejno pamiątki po nich do innej, smutnej Księgi... I Księga Żywych malała, a Księga Umarłych rosła z każdym rokiem... Aż wreszcie, teraz, zostało w tamtej tylko dwoje żyjących ludzi: Pani... i ja.

— Jakie to dziwne, jakie ładne i... jakie strasznie smutne... — szepnęła panna Olesia, — Pamięta pan, co Prus powiada w „Lalce” o dawnym, lepszym pokoleniu: „Jak oni się wynoszą... I któż tu wreszcie zostanie?”...

— Pamiętam. Ale w Księdze Żywych wujaszka myśmy zostali, panno Olesiu. „My — to znaczy pani i ja, — odparłem również zniżonym głosem, biorąc ją za rękę. Zauważyłem, że ramię jej drży lekko. Ze wzruszenia, czy z chłodu? Zrobiło mi się nagle nieswojo, bo czułem, że nie jest to chwila do wyznań, o ile wogóle do wyznań dojść miało. Zmieniając ton, spytałem szybko:

— Czy pani nie zimno?

— Tak, zimno mi trochę. Tutaj tak zawsze, o zmierzchu, w tej alei, — odpowiedziała, przyspieszając kroku. Ruchem tym wysunęła rękę z mych dłoni. — Może wrócimy do domu? Mamusia pewno się dziwi, że nas dotąd nie widać... A pan... Pan musi mieć jeszcze sporo zajęć przed odjazdem. Dlatego nie możemy nalegać, jak zawsze, aby pan dłużej pozostał u nas...

Byłem jej prawie wdzięczny za to, że nie podjęła moich słów.

(d. c. n.)

Warszawska szkoła pielęgniarek.

W połowie Października roku zeszłego powstała w Warszawie, przy współdziałaniu Polskiego i Amerykańskiego Czerwonego Krzyża oraz Wydziału Szpitalnictwa miasta Warszawy, pierwsza wzorowa szkoła pielęgniarek.

Ani się obejrzymy jak w końcu 1923 r. zastęp młodych, świetnie wyszkolonych, gorącym duchem i poczuciem odpowiedzialności ożywionych kobiet pójdzie szerzyć w naszej, tak pod tym względem zacofanej Ojczyźnie, zasady czystości, higieny, uczyć masę jak się chorobom zapobiega i jak się podczas choroby zachować należy, oraz współpracą swoją ułatwi lekarzom w szpitalach należy opiekę nad chorymi.

Z jak wyborowego materiału składa się komplet tych naszych przyszłych „oficerów zdrowia” świadczyć może fakt, że od wstępujących do szkoły uczennic wymagano ukończenia szkoły średniej oraz wyższego poziomu wychowania i etyki.

Obawy, że w gronie panien, posiadających wyższe kwalifikacje, nie znajdzie się dość amateerek do pełnienia tej doniosłej ale i ciężkiej i odpowiedzialnej służby społecznej, na szczęście nie tylko się nie sprawdziły, ale liczba zgłaszających się kandydatek przewyższyła liczbę miejsc któremi rozporządzała szkoła.

Z 26 uczennic, które wstąpiły na pierwszy kurs sześć, dla przyczyn zdrowia lub względów rodzinnych, opuściło szkołę, pozostałe dwadzieścia, po ukończeniu trzymiesięcznego kursu: fizjologii, bakterjologii, chemii, farmakologii, przeszły do zajęć praktycznych, i w obecnej chwili ku zadowoleniu zarządu szkoły, lekarzy i chorych, pracują w salach szpitalnych.

Teoretyczna nauka oczywiście nie ogranicza się do owych trzymiesięcznych kursów i uczennice powracają do niej trzykrotnie podczas dwuletniego kursu nauk.

W połowie marca roku bieżącego nowy zastęp, złożony z 21 panien, wstąpił do szkoły, po krótkim czasie opuściło ją trzy, pozostałe 18 również, po teoretycznych zajęciach, przeszły do praktyki szpitalnej.

Wszystkie posiadają średnie, niektóre nawet wyższe wykształcenie. przeciętny wiek ich 22 lata.

Niestrudzona dyrektorka szkoły Miss Bridge, której dążeniem jest postawienie warszawskiej szkoły pielęgniarstwa na poziomie najlepszych tego rodzaju szkół zagranicą pokłada wielkie nadzieje w zespole uczennic, które pod jej kierunkiem pracują. Podkreśla ich zapał, pracowitość, przykładne koleżeństwo i gorąco pragnie, aby trzecia grupa, która we wrześniu wstąpi do szkoły była ożywiona tym samym duchem.

W obecnej chwili, według wskazówek Miss Bridge dokonywane są w pawilonie, udzielonym szkole pielęgniarek przy szpitalu Czerwonego Krzyża na Smolnej przeróbki i przebudówki, które dozwolą zarządowi wprowadzić ulepszenia, podnieść liczbę uczennic do 70 i rozszerzyć zakres pracy.

Personel nauczycielski, obok dyrektorki Miss Bridge i pań Amerykanek składa się z Polki z Ameryki panny Tyłskiej oraz wykwalifikowanych w pielęgniarstwie Polek, pani Zarzyckiej i Chludzińskiej.

O doniosłych w dziedzinie pielęgniarstwa planach dyrektorki pomówimy, gdy będą bliżkie urzędywistnienia, tymczasem gorąco zachęcamy te z naszych młodych panien, które jeszcze nie uczyniły wyboru przyszłego zawodu i czują w sobie powołanie do tej prawdziwej „służby narodowej” aby się zapoznały z programem i działalnością Warszawskiej szkoły pielęgniarek.

Zarządowi i przyszłym naszym „oficerom zdrowia” zasyłamy serdeczne życzenia dalszej pomyślnej i owocnej pracy.

J. S.

Neo-Maltuzjanizm.

W Londynie odbył się piąty doroczny kongres Neo-Maltuzjanistów, pod przewodnictwem p. dr. Drysdale, który zagaił pierwsze posiedzenie zapewne-

niem, że propaganda za ograniczeniem liczby narodów, spotka się obecnie z opozycją jedynie ze strony Kościoła Katolickiego i, że na podstawie najnowszych statystyk, można przepowiedzieć, że ludność ziemi stopniowo się ustali i wzrastać przestanie.

Dr. Drysdale przytoczył następujące cyfry. W 1876 r. liczba narodowa w Anglii była 30, 3 na tysiąc, w 1920 spadła do 20. W tymże samym czasie śmiertelność 22 na tysiąc spadła do 12.

W całej zaś Europie liczba narodów z 40 na tysiąc w 1876, spadła do 36,5 w 1901 r., czyli w tym okresie w Europie przyszło na świat o 3 miliony mniej dzieci, a jeśli dodamy Australję i Amerykę o 5.000.000 mniej.

Świadczy to o tem, że co najmniej 20 milionów ludzi świadomie ograniczało liczbę dzieci, co sięga 45 letniago okresu, który upłynął od chwili powstania ruchu neo-maltuzjańskiego.

P. Drysdale przewiduje, że o ile ruch rozwijał się będzie w tym samym stosunku to liczba narodów spadnie do 17 1000, nie tylko uchroni się mieszkańców tą drogą od śmierci 25 milionów istnień ludzkich rocznie, ale dobrobyt i pomyślność uznana, zmniejszy się wartość walki o byt, rzesze ludzkie się wzmocnią i udoskonalą i ustaną przyczyny i wojen między narodami.

Na poparcie powyższej tezy p. Mystrom Swuned wystąpił z ponurą przepowiednią, że o ile liczba narodów się nie zmniejszy, za 50 lat na kuli ziemskiej będzie dwa miljardy mieszkańców i nastąpi epoka powszechnej nędzy i ogólnych wojen wszystkich przeciw wszystkim.

Panowie ci nie brali widocznie wiele w rachubę wyników ekonomji społecznej, która dowodzi, że ziemia jest w stanie wyżywić liczbę ludzi kilkakroć przewyższającą obecną liczbę mieszkańców i że nauka i wynalazki z dniem każdym ułatwiają udoskonalenia i zwiększanie wytwórczości.

Propaganda Neo-Maltuzjanizmu nigdzie może nie przedstawia takiego niebezpiecznego jak we Francji. Echo de Paris drukuje szereg artykułów o szerszeniu się wśród wszystkich warstw ludności neo-maltuzjanizmu, którego skutki już tak dotkliwie dają się odczuwać.

Duże cyfry wprost przeryzająca są tego dowodem.

W Niemczech wyższość narodzin nad śmiertelnością rocznie . . . 739.000

We Francji przawaga śmiertelności nad urodzinami. 33.000

Propaganda neo-maltuzjanizmu szerzy się we Francji z zupełną bezkarnością.

Preleganci objeżdżają cały kraj, wygłaszając odczyty i pogadanki z pokazami. W niektórych gniazdach merowie pozwolili im korzystać z budynków publicznych, a w niektórych Giełdach Pracy urządzono specjalne biura dla robotników i ich żon, gdzie są do nabycia środki ochronne.

Niezależnie od tego mnożą się i sztuczne poronienia. Istnieją zarówno w stolicy jak na prowincji wspaniałe urządzone zakłady, w których lekarze, oddając się temu haniebnemu rzemiosłu, zarabiają miliony.

W ciągu ostatnich trzech lat liczba kobiet, które się leczyły od skutków poronienia w szpitalach paryskich potroiła się. Liczbę poronień obliczają w Paryżu rocznie na 100,000, w Ljonie na 10,000, czyli o tysiąc lub dwa więcej, aniżeli wynosi liczba narodzin, które sięgają zaledwie 8 czy 9 tysięcy.

W 1918 r., na 66 spraw, wytoczonych z powodu sztucznych poronień, 54 zakończyło się unieważnieniem oskarżonych.

Dawniej za zbrodnię tą karano ciężkimi robotami sprawców poronienia, a więzieniem kobietę które się poddała operacji, dziś upatrują w tem drobne przewinienie a wkrótce może, jak się tego domaga pewna grupa ludzi—nawet ze sfer inteligentnych, określa to jako korzystanie z przysługującego każdej jednostce prawa.

Wymieniają Członka Instytutu, który w środkach zapobiegawczych widzi widoczny postęp ludzkości: „Rozwaga przeciwstawia się instyktowi, przeznaczenie bezmyślności, a homo sapiens — bydlęciu”.

Z przeglądu zagranicznych.

„Rassegna Nazionale” opowiada historję pewnego dziennikarza włoskiego z zeszłego wieku, Ferrari który z nieznaczną sumą pieniędzy udał się w 1836 r. do Paryża, spodziewając się że zrobi tam karierę.

W chwili przybycia do Paryża, posiadał zaledwie sto franków i zegarek, który niezwłocznie zastawił.

Pożyczwszy od portjerki domu, w którym wynajął stancyjkę, kilka starych ksiązek francuskich, zaczął się na nich uczyć języka francuskiego. Artykuł, na napisanie którego po włosku zużył pół godziny, pracowicie przetłomaczył na francuski, posługując się w braku słownika starymi książkami i zużywając na tę pracę całą dni 20. Kiedy artykuł ukazał się w „Presse”, zwrócił uwagę starego Dumasa, który zaproponował włosowi współpracownictwo.

To był pierwszy szczebel do kariery. Stopniowo zaczął pisać samodzielnie i syt sławy zeszedł z tego świata w sędziwym wieku milionerem.

—o—

Walki byków odbywały się dawniej stale w Rzymie; areną na której urządzano krwawe te igrzyska był grób Augusta, w wiekach średnich zamieniony na fortecę a następnie na arenę.

Przed stu laty Papież, ku wielkiemu żalowi ludu rzymskiego, zakazał walki byków w wiecznym mieście.

—o—

Międzynarodowy komitet ochrony dziecka, na ostatniej sesji w Brukseli uchwalił:

Zakładanie szkół na powietrzu, kierowanie dzieci do odpowiednich zawodów, sporządzanie urzędowej statystyki śmiertelności dzieci i wyników osiągniętych w tej dziedzinie przez towarzystwo opieki nad małoletnimi i niemowlętami.

Przyszłe posiedzenie 1923 odbędzie się w Genewie, Liga Narodów wydelegowała już na zjazd jednego z członków Rady, japończyka Nitobe.

—o—

Francuska Rada Narodowa kobiet zwróciła się do Prezydenta Senatu z protestem przeciw ponownemu wdrożeniu dyskusji nad przyznaniem kobietom praw politycznych. W proteście tym między innymi, zarzuca Senatowi, że dotychczas nie wypowiedział się w sprawie ustawy o równouprawnieniu, którą Izba uchwaliła już w maju 1919. 170,000 członkiń Rady Narodowej nie mogą zrozumieć, dlaczego Francuska Izba Wyższa jest mniej dbała o wymierzenie kobietom sprawiedliwości aniżeli Parlamenti anglosaskie, belgijski i tyle innych.

W końcu wzywają p. Leona Bourgois, aby użył swego wpływu na Senat i sprawę przyznania kobietom francuskim praw politycznych, rozstrzygnął na najbliższej sesji.

—o—

Profesor astronomji przy Uniwersytecie w Harvard p. James Party, który widocznie należy do licznych przeciwników billu anti-alkoholowego, rzuca myśl utworzenia pływającego miasta amerykańskiego, statku, któryby zarzucił kotwicę o trzy mile od New Yorku, po za granicą wód terytorjalnych. Na statku będą urządzone: paryski kabaret, bar anglosaski, kawiarnia wenecka, ogród chiński i t. d. i do tego miejsca zakazanych rozkoszy będą dowoziły mieszkańcy New Yorku małe statki parowe i łodzie motorowe.

—o—

Na 50,000 mieszkańców wolne miasto Rjeka posiada 3,000 urzędników.

—o—

W Genewie od 28—31 lipca obradował 3 Kongres wychowania moralnego. (Pierwszy odbył się w 1908 w Londynie, drugi w 1912 w Hadze). Przedmiotem obrad kongresu tym razem było zwalczanie militarizmu. Na porządku dziennym postawiono dwie sprawy: „duch międzynarodowy i nauka historii” i „solidarność i wychowanie”.

—o—

Pewna grupa osób znanych i cieszących się powszechnym szacunkiem zwróciła się do władz ustawodawczych w Waszyngtonie z żądaniem zabronienia tak zwanych „lazz—dances”.

Głos kobiety o zdżiczeniu w Niemczech.

Ozwał się wreszcie i z łam pisma niemieckiego głos protestu przeciw zdżiczeniu obyczajów politycznych w Niemczech, a jest to głos znanej działaczki społecznej i współredaktorki miesięcznika „Die Frau”. W lipcowym zeszycie tego pisma pani Gertruda Bäumer czyni znamienne wyznanie: Oto, zdaniem jej, równouprawnienie polityczne kobiet w niczem nie przyczyniło się do oczyszczenia atmosfery, do złagodzenia tonu i ducha walk politycznych.

Kobiety nie mają prawa tłómaczyć się tem, że ich głos, w dobie wrzenia i powszechnej nędzy, był za słaby na to, aby wywrzeć wpływ na politykę.

„Tysiące kobiet wcale nie próbowały grać roli dobrych duchów, przeciwnie one same dały się porwać partyjnym namiętnościom, tonęły w odmęcie nienawiści i wzajemnych oskarżeń, a wyrozumiałemi i sprawiedliwemi być nie chciały”.

Widząc jak wokół nich wzbierały fale nienawistnych i wszelkich skrupułów pozbawionych walk wszystkich przeciw wszystkim, nie przeciwstawiały im żadnego oporu.

Pani Bäumer nie oszczędza swoich rodaczek i mówi im w oczy gorzką prawdę: „Byłyście za obojętne, za krótkowzroczne i za tchórzliwe, aby się temu przeciwstawić. Płynęłyście z prądem, nie zastanawiając się nad tem, dokąd prąd ten zapędzi nasz naród. Inne zaś na wzajemne szczucie nie zwracały żadnej uwagi; bo się o życie publiczne wcale nie troszczyły”.

Pani Bäumer nawołuje świat kobiety do tego, by wreszcie otworzył oczy na rzeczywistość, by uświadomił sobie, że czyn taki, jak zabójstwo politycznego przeciwnika, dokonany przez garść fanatyków, pośrednio jest wynikiem posiewu zatrutych oskarżeń, niesprawiedliwych sądów, nieobmyślanych podejrzeń, do którego to posiewu przyczyniły się wszystkie warstwy ludności, nie wyłączając inteligencji.

Aby tej duchowej zaradzie położyć kres, potrzebny jest jednolity front moralnego i stanowczego oporu.

Front ten powinny utworzyć kobiety. Zarówno w łonie stronnictw, jak i po nad niemi, powinny wypowiedzieć walkę politycznemu zdżiczeniu, podnieść głos protestu zarówno przeciw panującemu obecnie tonowi, jak i przeciw uczuciom i nastrojom, których wyrazem jest ten ton.

Śmiało i stanowcze protesty przeciw podburzającym mowom wiecowym, broszurom, pamfletom i artykułom dziennikarskim będą musiały w końcu wywrzeć wpływ.

Słusznie jednak podkreśla p. Bäumer że o wiele skuteczniejszą od protestów jest organizacja ponad partyjna, a taką właśnie organizację posiadają kobiety w swoich zrzeszeniach. Tę organizację winny wzmocnić wewnętrznie przez ducha solidarności, zewnętrznie przez intensywniejszą działalność.

Złemu duchowi narodu niemieckiego winny się przeciwstawić zwarte szeregi kobiet niemieckich; one winny przywołać do opamiętania fanatyków, obudzić bezmyślnych i śpiących i otworzyć oczy każdej kobiety na zło, z którym walczyć należy z całą bezwzględnością i ze wszystkich sił.

Prosimy o wnoszenie zaległej prenumeraty.

WZOROWE WARSZTATY **TKACKIE** MAŁE :: **WEŁNY** MAŁE PRZĘDZALNIE **LNU**

— poleca —

Fabryka Maszyn Inż. W. Żórawski w Warszawie ul. Wilcza 2.

TOWARZYSTWO ZAKŁADÓW GRAFICZNYCH KOŁA POLEK

PRZYJMUJE DO ROBOTY: KSIĄŻKI, BROSZURY, BLANKIETY,

TABELE, PLAKATY, ODEZWY i t. p.

WYKONANIE SZYBKIE, DOKŁADNE I TANIE.

Treść № 34.

Międzynarodowy Kongres Kobięcych Związków katolickich w Rzymie — przez J. Szabeko. Poglądy El. Ziemięckiej na wychowanie — przez Rzętkowską. Fizjologia „oddychania” — przez dr. Z. Goreckiego. Orestesja — przez prof. T. Zielińskiego. Gwiazdy i dolary — przez M. H. Szyrkównę. Księga Umarłych — przez W. Miłaszewską. Muzyka Polska. Z przeglądów, Kronika. Wzory ubiorów i robót (dodatek „Mody”).

Preparaty D-ra Séguinaud'a

1. Maski odmładzające, usuwają zupełnie zmarszczki, poduszki pod oczami, siatki i wgłębienia. Cena 5 i 3 tys. mk.
2. Tryumf leczy stanowczo czerwoność nosa. Cena 3.000 mk.
3. Tuja plyn roślinny, szybko schnie, zupełnie usuwa: pieg i plamy. Cena 1.500 mk.

REPREZENTANT KLIMECKI

WARSZAWA, NIECAŁA 5.

Uskutecznia wysyłki za zaliczeniem.

OD WYDAWNICTWA

Prenumerata „Bluszczu”

miesięcznie - - - - - Mk. 1000.—

z odnośnieniem do domu, lub przesyłką pocztową.

Zagranicą miesięcznie Mk. 3000.— Cena numeru pojedynczego Mk. 250.—

Zmiana adresu Mk. 100.—

REDAKCJA: Nowy-Świat 41 — Telefon 105-22.

ADMINISTRACJA: Pałac Staszycy Krak.-Przedm. 2, Koło Polek tel. 239-40.

CENY OGŁOSZEŃ

Strona	Cała	1/2	1/4	1/8	1/16
Pierwsza . .	60 000	35.000	20.000	12.000	6.000
Tekstowa . .	70.000	40.000	25.000	15.000	10.000
Ostatnia . .	60.000	40.000	18.000	10.000	6.000

Klisze na koszt klienta.

OGŁOSZENIA przyjmują prócz administracji „BLUSZCZU”: Tow. Akc. „REKLAMA POLSKA”, Warszawa, Jasna 10, BIURO OGŁOSZEŃ T. PIETRASZEK — Marszałkowska 115, L. i E. METZL i Sp. — Marszałkowska 130, BIURO DZIENNIKÓW S. UNGRA — Senatorska 12, Polsko-Ameryk. Tow. „NOWA REKLAMA”, Długa 9 i I. Buchweitz—Marszałkowska 107.